

Jerzy Klimczok

**Szlakiem zaniedbań
Bartosza W.**

Dziękuję mojej żonie Ani,
za wnikliwą korektę,
rzetelną redakcję
i fantastyczną okładkę

Dziękuję wszystkim tym,
którzy przyczynili się do tego,
że ta książka ujrzała światło dzienne

Mój literacki debiut dedykuję wszystkim tym,
którzy mają pytania,
i nie boją się szukać na nie odpowiedzi

Prolog

Lubię kręte drogi, nie trzeba rozwijać dużych prędkości, by odczuwać przyjemność z jazdy. Przerywana linia, na zmianę z ciągłą, doskonale widoczna w świetle reflektorów, wręcz na pamięć znam tę trasę, wiele razy nią jeździłem. Redukcja przed wejściem w zakręt, lekko hamulec, spokojnie, bez nerwów, świetnie wyprofilowane fotele pewnie podpierają moje ciało, wychodząc z wirażu naciskam gaz, nie trzeba do dechy, a i tak przyspieszenie wgniata w fotel, zmiana biegu, gaz... Kolejny ostry zakręt, tym razem w przeciwną stronę, redukcja, trzeba się zaprzeć o kierownicę, lekko hamulec... Lubię kręte drogi, przy takiej jeździe wyraźnie widać, że ta komfortowa limuzyna ma sportową duszę; już opuszczając fabrykę taka była, a w zaprzyjaźnionym warsztacie jeszcze dołożyli kilkadziesiąt koni. To ostatni komfortowy, zupełnie niepotrzebny i bajecznie drogi element mojego poprzedniego życia, ale lubię ten wóz.

Słońce ostatecznie schowało się za horyzontem, nawet nie ma tej jasnej poświaty na zachodzie, zapadł wieczór, właściwie to już noc. Dzisiaj jednak ta jazda krętą drogą nie sprawia mi przyjemności... Ostatni zakręt przed prawie pięciokilometrowym prostym odcinkiem już został z tyłu samochodu, teraz

długi kawałek prostej; jeden, symboliczny wręcz łuk, mniej więcej na pierwszym kilometrze... właśnie teraz... lekko gaz, może trochę więcej, tak z połowę, samochód przyspiesza bez marudzenia, nie patrzę na prędkościomierz. Przerwana linia w świetle reflektorów już wygląda jak ciągła. Znam tę trasę na pamięć, na końcu będzie ostry zakręt w lewo, znam tę trasę... Już czas zdjąć nogę z gazu... zamiast tego dociskam go do końca... wgniata mnie w fotel... Gdy wskazówka obrotomierza jest w połowie czerwonego pola zamykam oczy...

„A jeśli zabierzesz ze sobą kogoś, kto nie jest gotowy?”
Słyszę wyraźny głos, jakby nagle włączyło się radio.

Gwałtownie naciskam hamulec, otworzyłem już oczy, włączają się wszystkie wyrafinowane systemy wspomagające hamowanie i kontroli trakcji, świecą i mrugają wszystkie trzyliterowe ABS, BAS, ESP, ASR i jeszcze parę innych kontrolerek. W światłach reflektorów nie widzę jeszcze bariery energochłonnej na zakręcie, środkowa linia podwójna ciągła, mrugnięcie okiem temu była przerywana od strony przeciwnego pasa... Jadę zdecydowanie za szybko, hamulec wciśnięty do oporu, przygotowuję się na pokonanie przeszkody... widzę barierę oklejoną w czerwono białe pasy... Nie widzę świateł żadnego pojazdu, który mógłby nadjechać z przeciwka, to dobrze... przekraczam oś jezdni... wchodzę w ostry łuk... żadnych gwałtownych ruchów kierownicą... lekko zarzuciło tyłem, ale jestem na drodze... Znowu mały poślizg... ciągle jeszcze jestem na drodze... Bariera coraz bliżej prawego lusterka... zakręt jeszcze się nie skończył, ale skończył się asfalt... Prawe koła szurają po żwirze na poboczu, nowu zarzuciło, chyba otarłem się o barierę... a może nie... Koniec hamowania... Sto-

ję na poboczu kilkadziesiąt metrów za zakrętem, prawie w rowie. Silnik cichutko mruczy, a ja dalej z całych sił wciskam hamulec... Awaryjne światła migają... cyk, cyk, cyk, cyk...

Kto to powiedział? Czyj to był głos? – moja pierwsza myśl...

Znam tę trasę, kilkaset metrów dalej jest hotelik, może jakoś dojadę. Staram się opanować drżenie rąk i nóg, kilka głębokich oddechów. Po dłuższej chwili zdejmuję nogę z hamulca, samochód ruszył jak zwykle, jakby nic się przed chwilą nie wydarzyło. Lekko dotykam pedału gazu, przyśpieszył delikatnie, ostrożnie wtaczam się na jezdnię, ustawiam samochód na środku pasa, w równych odległościach od środkowej linii i brzegu asfaltu. Lubię ten wóz. Dotarła do mnie absurdalność tej myśli w tej sytuacji. Nie przekraczając prędkości dwudziestu kilometrów na godzinę, prawie nie dotykając gazu, po dłuższej chwili jestem na parkingu przed hotelem. Wyłączam silnik, gaszę światła... Nie mam sił, by wysiąść z samochodu. Nogi jak z galarety, ręce tak się trzęsą, że nie umiem złapać klamki od drzwi. Posiedzę tu jeszcze chwilę...

Człowieku, co ty chciałeś zrobić? – sam sobie zadaję pytanie. I ta świadomość, że o włos...

* * *

Nie wiem ile czasu siedziałem w samochodzie, w końcu udało mi się otworzyć drzwi, postawiłem stopy na granitowym bruku hotelowego parkingu, ciągle nie jestem pewien, czy nogi zdołają utrzymać mój ciężar, lepiej posiedzę sobie jeszcze chwilę. Zebrałem siły, po chwili, przytrzymując się

drzwi i relingu dachowego stoję, na drżących nogach, ale stoję. Sięgam po kurtkę, w kieszeni mam portfel i dokumenty, zamykam drzwi, włączam alarm – to odruchowe czynności. Idę do recepcji, może mają wolny pokój, byłem tu nie raz, na pewno mnie pamiętają. Już wiem, że dzisiaj dalej nie pojedę, zresztą nie wiem, gdzie mógłbym jechać.

Czyj to był głos? – cały czas to pytanie zaprzęta moje myśli...

Znajomy recepcjonista, pan Janek, jak zwykle uprzejmy i pogodny, od razu zorientował się, że nie mam ochoty na pogaduszki, położył klucz na blacie, ja dwie stówki...

– Formalności dopełnimy jutro – usłyszałem już na schodach.

– Ok, dziękuję, jutro – odmruknąłem coś niewyraźnie, machnąłem ręką, ni to w podzięcie, ni to na pożegnanie. Znalazłem pokój, będę musiał podziękować panu Jankowi, na końcu korytarza od strony lasu i jeziora, będę miał ciszę i spokój.

Walizki zostały w samochodzie. Trudno. Tu zawsze w wyposażeniu są czyste ręczniki, szlafrok i podstawowe kosmetyki w jednorazowych saszetkach. Ochlapałem twarz zimną wodą, tylko na tyle było mnie teraz stać.

* * *

Którą godzinę leżę na łóżku i gapię się w sufit? Jak się tu znalazłem? Nie chodzi o trasę z Wrocławia do tej wioski na Zamyszczyźnie, ale o to, jak znalazłem się w tym punkcie życia.

Jeszcze kilka miesięcy temu zatrudniałem ponad cztery setki pracowników, byłem właścicielem firmy budowlano-renowacyjnej. Odnawialiśmy zabytkowe budynki, wnętrza,

pensjonaty, powstające w starych dworkach, odzyskanych przez właścicieli po upadku komuny, kapliczki i kościoły. Wiele intratnych i bardzo intratnych zleceń, w Polsce i poza jej granicami. Bardzo często zajmowaliśmy się budynkami tak cennymi i leciwymi, że pracowaliśmy pod okiem konserwatora zabytków. Zlecenia od samorządów, gmin, miast, kilka razy nawet z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Różne przetargi wygrywałem, pomimo nie najniższej oferty.

Teraz już nie mam firmy, musiałem przekazać prawo własności współnikowi, formalnie Krzysztof był managerem, ale traktowałem go jak przyszłego współnika, bo takie miałem wobec niego plany. Właśnie wracałem po udanych, choć długich i trudnych negocjacjach; moi byli pracownicy mają gwarancję zatrudnienia i przyzwoitego wynagrodzenia przez najbliższe dwa lata, przyzwoite premie świąteczne: z okazji Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy. Wiosenną w zasadzie dostaną ją dopiero na początku maja, a nie przed świętami, ale dostaną.

Wracać może mam gdzie, ale nie mam do kogo. Kobieta, z którą byłem ponad sześć lat, jest teraz z tym, który mnie oszukał, kilka tygodni temu przyjaciel, a teraz cała firma jest jego. Ale jestem bez długów i mam z czego żyć: wynajęty duży dworek przynosi dochód; mieszkanie, w którym mogę mieszkać; drugie, które wynajmuję; szczątkowy udział w paru innych projektach i nieruchomościach; oszczędności, wcale nie takie małe, choć to okruchy w porównaniu z tym co miałem; samochód – już z samej jego sprzedaży mógłbym z pięć lat spokojnie przeżyć, jeżdżąc innym, przeciętnym samochodem, prosto z salonu.

Faktem jest, że większość swoich nieruchomości musiałem przekazać na rzecz firmy. Spieniężyć aktywa, sprzedać udziały, wycofać się z wielu projektów, opróżnić konta, zerwać lokaty i inwestycje, by uregulować należności i wypłacić odszkodowania za zerwane kontrakty i umowy oraz zapewnić przyszłość moim byłym pracownikom. Najwyżej zacznę od początku, kupię jakąś rudere, wyremontuję i sprzedam. Jeszcze pamiętam, jak się trzyma kielnię w rękę i muruje ściany. Ale czy mi się chce? Nie boję się o swoją materialną przyszłość, zresztą nie myślę o tym teraz. Inne pytanie spędza mi sen z oczu.

„A jeśli zabierzesz ze sobą kogoś, kto nie jest gotowy?”

Dziwne pytanie. Nie rozumiem go... a w zasadzie nie rozumiem, dlaczego to właśnie pytanie spowodowało, że zdjąłem nogę z gazu. Coraz mniej pojmuję z tego, co się wokół mnie dzieje. Kto ma miękkie serce musi mieć twarde siedzenie. Wiem, że za bardzo ufam ludziom i dlatego oberwałem po uszach i po siedzeniu.

„A jeśli zabierzesz ze sobą kogoś, kto nie jest gotowy?”

Szczerze, to w mojej głowie coraz głośniejszy słyszę inne pytanie, które sam sobie zadaję: Czy ja jestem gotowy? I z każdą chwilą i z każdym promieniem wschodzącego już słońca zdaję sobie sprawę, że nie, że nie jestem gotowy. I że nie wiem, co zrobić, by być gotowym!

* * *

Jednak udało mi się zasnąć, nawet nie wiem kiedy, we śnie jeszcze raz pokonywałem ten zakręt, zbliżająca się bia-

łoczerwona bariera tuż przy prawym lusterku... odgłos uderzenia, urwane lusterko... Zarzuciło tyłem, uderzyłem w barierę przodem... Zgasło prawe światło, pogięta maska, otwarła się poduszka przednia, obróciło mnie tyłem w kierunku jazdy, gdzieś mignął mi rowerzysta prowadzący rower i trzymający dziecko za rękę. Zapamiętałem wszystkie szczegóły, dziewczynka, może z 6 lat, sukieneczka do kolan w kwiaty, stokrotki to były, trampki, takie co migają światełkami przy każdym kroku, cienka różowa kurteczka z wszytymi elementami odblaskowymi, beżowa czapka z daszkiem... Kolejne uderzenie, poduszka boczna i kurtyna się otwierają, prędkość była tak duża, że przeokoziółkowałem przez barierę. Musiałem widocznie podskoczyć na jakiejś dziurze czy kamieniu, leżącym na drodze, potem kilkumetrowa skarpa i drzewo, jedno, drugie, trzecie... słyszę... czuję uderzenia. We wstecznym lusterku widzę przyczepioną do pogiętej wycieraczki tylnej szyby zakrwawioną, beżową, czapkę z daszkiem...

„A jeśli zabierzesz ze sobą kogoś, kto nie jest gotowy?”

Obudziłem się zlany potem...

Gdzie ja jestem? Rozglądam się, już wiem, hotelowy pokój. Łomoczące serce zaczyna się uspokajać, a ja staram się unormować oddech. Zwlekam się łóżka, siadam na brzegu, po dłuższej chwili znajduję w sobie tyle sił, by podjąć próbę dotarcia do łazienki, zimna woda na twarzy, tym razem, przynosi orzeźwienie, nie wycieram jej, niech kapie z nosa i brody. Odkręcam ponownie kran i wkładam całą głowę pod strumień wody, lodowata, jakby z kranu wysypywały się kryształki lodu, dobrze, bardzo dobrze, taka ma być. Dosyć, wystarczy, bo mi mózg zamarznie. Wycieram włosy hotelowym ręcz-

nikiem, zaczynam normalniej myśleć. Czuję pot i brud na sobie, przydałby się prysznic. Gdzie moje rzeczy, rozglądam się... W samochodzie, przypomniałem sobie. Znowu widzę białoczerwone pasy przemykające obok coraz bardziej zbliżającego się do nich lusterka...

Potrząsnąłem głową chcąc wyrzucić z niej pojawiające się obrazy. Przyglądziłem dłonią wilgotne jeszcze włosy, nie na wiele się to zdało, biorę kluczyki, idę do samochodu. Uśmiechnąłem się do siebie, już z daleka widzę, że ostatnio tak koślawo zaparkowałem robiąc prawo jazdy, prawie trzy miejsca zająłem. Obchodzę niepewnie samochód dookoła. Oglądam go dokładnie, mam w pamięci sen i zakrwawioną czapeczkę... i... nic, żadnej ryski, żadnej wgniotki, wszystkie szyby i światła całe, żadnej plamki krwi. Uff... Dzięki Ci Boże, że nikomu nie zrobiłem krzywdy... Po chwili dotarło do mnie, że to była moja pierwsza modlitwa w życiu, taka prawdziwa i szczerą.

Wsiadam do samochodu, parkuję jak należy, na jednym miejscu, wyciągam z bagażnika walizki. Dźwigając je do pokoju mijam recepcjonistę, kiwam głową na jego uprzejme powitanie. Nie mam siły, ani ochoty na rozmowę.

Po kwadransie spędzonym w łazience nie wiem, czy czuję się lepiej, może czystszy, ale nie lepiej. Patrzę na moje „służbowe” ubranie: garnitur, koszula, krawat, teraz nie będą mi już potrzebne. Zakładam moje ulubione sprane dżinsy, podkoszulkę i bluzę z kapturem. Otwieram okno, wychodzę na balkon, zapierający dech w piersiach widok na jezioro i las. Późna wiosna, wszystko bucha bujną, dziką wręcz zieleńią. Z boku budynku taras, trochę bruku, trochę desek, trochę trawnika, altanka i stoliki. Jakaś parka siedzi przy jednym

z nich, popijają kawę, rozmawiają... Jak mi się chce kawy, uzmysłowiłem sobie.

* * *

- Dzień dobry, co podać?
- Dzień dobry, kawę proszę...
- Już podaję.

I zbiera się do odejścia, a ja jeszcze nie powiedziałem, jaką chcę, nabieram powietrza, by dokończyć zamówienie i ją zatrzymać. Widzi moje spojrzenie i kontynuuje:

– Podwójną, mocną, czarną, doprawioną kardamonem, podaną w kubku, a nie w filiżance, podgrzane mleko osobno i cukier trzcinowy, zgadza się?

Jakby czytała mi w myślach, patrzę jej w twarz, w okolicach jej ust i oczu błąka się figlarny uśmiezek, pracuje tu od trzech, może czterech lat. Kojarzę ją, ale jak ma na imię, nie potrafię sobie przypomnieć. Jak na złość notatnikiem zasłania wyhaftowane imię na koszuli.

– Dokładnie taka – potwierdzam i kiwam głową.

Odchodzi, nie byłem tu chyba z dwa lata, a ona pamięta jak podaną i jaką kawę lubię, to miłe. Jak ona ma na imię? Monika?... Małgorzata?... Nie.

Rozsiadam się wygodniej, grzejąc się w wiosennym słońcu. Jak rośliny ze słońca biorą energię do życia, tak i ja wystawiam się na jego życiodajne działanie. Zamykam oczy, ciepło promieni na twarzy, jak miło, niech ta chwila trwa jak najdłużej... Nawet kelnerka nie przerywa mojego rozmarzenia i krótkich chwil wyciszenia, cichutko i bez słowa kładzie tacę

na stolik. Otwieram oczy, przypominając sobie o imieniu na koszuli, które chciałem odczytać, ale już się obrociła i odeszła. Spóźniłem się, jest już za daleko, by jej powiedzieć „Dziękuję”. Skąd ona mnie tak dobrze zna? Kubek pachnącej, aromatycznej kawy w rękę i świat zrobił się jakby bardziej kolorowy.

Nawykowo rozglądam się po tarasie, z uznaniem oceniam jakość prac i materiałów. No właśnie! Przecież to pierwsze duże zlecenie Zbyszka. Pierwszy raz widzę skończony i pełny efekt. Dobra robota.

Zbyszek

Zbyszek, to jest historia. Więzień i kryminalista, recydywista, wyszedł z więzienia i nie mógł znaleźć pracy. Przyplątał się jesienią na jakąś moją budowę, z osiem lat temu to było. Akurat mnie terminy gonily i to na tyle, że sam SzeF – jak mnie moi pracownicy nazywali – ubrał robocze ubranie i pracował na równi ze swoimi podwładnymi. Ponieważ potrzebowałem rąk do pracy, a jednocześnie byłem na miejscu, mogłem przypilnować i sprawdzić, co to za ziółko z tego Zbyszka i co potrafi... więc dobrze, decyzja podjęta. Zbyszek, tak jak stał, zabrał się do roboty. Nie chciał słyszeć, że od jutra, za nic nie dał się wyrzucić z budowy, jakby od tej pracy zależało jego życie. Trudno, zawałęm kierowcę i tak miał pojechać po materiały.

– Zabierz go ze sobą, kup mu ubranie robocze, buty, kask, rękawice... wiesz przecież, co potrzeba.

Wrócili, może po godzinie, może po półtorej. Zbyszek wyszedł z samochodu, dumnie wyprostował się, prezentu-

jąc się w nowym ubraniu i ten banan na jego twarzy, jakby wygrał milion dolarów. Teraz dopiero zobaczyłem, jaki to wielki chłop: prawie dwa metry wzrostu i ze sto trzydzieści kilogramów wagi. W podkoszulce widać, że to same mięśnie, ani grama tłuszczu. Za co on siedział? Próbowałem sobie przypomnieć, czy go o to zapytałem, pewnie nie, nie mam w zwyczaju pytać.

– Wiesz, Szefie, jak trudno było na niego kupić ubranie? Nie mają jego rozmiaru. A jaką ma krzepę! W sklepie widłak był zajęty, a on to przerzucił w pięć minut! – mówił otwierając tylne drzwi dostawczaka. – Szefie, półtorej tony, pięć minut i ani kropli potu, nawet się nie zasapał.

Takie uznanie ze strony mojego kierowcy to rzadkość, on to też kawał chłopca, który nie boi się ciężkiej pracy, a i krzepy mu nie brakuje. Czyli Zbyszek już złapał kumpla... i dobrze, zawalczył o siebie i wygrał.

Entuzjazm Zbyszka nie wygasnął. Niestety nie miał talentu do precyzyjnych robót budowlanych, a takiej precyzji i dokładności przy rewitalizacji bardzo potrzeba. Starał się, jak mógł, ale albo inni po nim poprawiali, albo zajmowało mu to tyle czasu, że jego praca traciła ekonomiczny sens.

Za to do wszelkich ciężkich robót rozbiórkowych był niezastąpiony, ale takich robót nie ma zbyt wiele. Wszystko wskazywało na to, że wiosną się rozstaniemy, ale odwlekałem z tygodnia na tydzień tę decyzję, bo jednak polubiłem Wielkoluda, jak go w myślach nazwałem.

Wiosna już rozgościła się na dobre, śniegi już stopniały, akurat przy tym konkretnym zleceniu mój kontrakt obejmował także zrobienie kilkanastu metrów ścieżki, podjazdu i kilku

stopni, oraz posadzenie paru krzaków i drzewek, posianie paru metrów trawnika. Moje chłopaki nie lubią tej ziemnej roboty, ale dla Zbyszka to wymarzona praca, jakby się do tego urodził. Zobaczył plany, rzut oka na teren, znowu na plany, znowu na teren, wziął metr, przygotował sobie kilka palików, znalazł sznurek i zabrał się do roboty. Nic mu nie trzeba było tłumaczyć, po prostu zabrał narzędzia i zaczął pracować, wytyczać, mierzyć, jakby to robił od zawsze. To, co było wyzwaniem dla moich ludzi, dla niego nie stanowiło żadnego problemu. Po pół godzinie podszedł do mnie z planami sugerując jakąś korektę. Nawet sensowny ten pomysł był.

I tak Zbyszek został naszym specjalistą od robót ziemnych, ubijarki, zagęszczarki, to było to. Układanie ścieżek, bruk, kamienie, podjazdy, sadzenie roślin. Później się dowiedziałem, że chłopcy nadali mu przydomek „Buldożer”, żartowali sobie, że gdzie nie może podołać koparka, trzeba posłać Zbyszka z łopatą i kilofem; mówili że jest szybszy od koparki. Do tej pory zatrudniałem do takich ziemnych, brukarskich robót zewnętrzne firmy, a teraz zaczynałem się zastanawiać, czy nie powinienem mu kupić więcej sprzętu. I tak przez całą wiosnę, lato i jesień nas zaskakiwał.

Pewien incydent pamiętam, końcem lata to było, przywieźli nam zamówione drzewka i inne rośliny, nie pamiętam ich nazw. Właśnie zajeżdża furgonetka, Zbyszek zawsze pierwszy do rozładunku, przygląda się roślinom i nagle podnosi głos, który po chwili dyskusji z dostawcą przeradza się w krzyk, że najgorsze sadzonki nam przywiózł, usychające, chore i ze szkodnikami; suto okraszał wypowiedź przekleństwami. Pierwszy raz takiego Zbyszka widziałem. Głośny,

wulgarny i wybuchowy był od zawsze, choć przy mnie się hamował, a i współpracownicy widzieli poprawę w tej dziedzinie. Ale to, co słyszałem teraz, przerastało wszystko, co było do tej pory.

Wkurzone sto trzydzieści kilogramów mięśni, żarty się skończyły. Biegnę ratować dostawcę, ten zamknął się w szoferce furgonetki i czuł się bezpieczny. Naiwniak, przecież Wielkolud, gdyby tylko chciał, wyrwałby drzwi, widziałem taką scenę na własne oczy. Byliśmy kiedyś świadkami wypadku. Przyjechaliśmy jako jeden z pierwszych samochodów i Zbyszek widząc zakleszczonych ludzi w samochodzie, a straży i pogotowia nie było jeszcze na miejscu, pięścią wybił szybę, złapał za drzwi, pociągnął, zamek puścił, otworzył drzwi praktycznie o 180 stopni, gdyby tylko chciał wyrwałby drzwi z zawiasów.

– Popatrz, Szeffie! – krzyczał teraz – orznąć cię chcieli! Z tego, co przywieźli, może z dziesięć roślin się przyjmie, reszta chora lub ze szkodnikami, patrz! – Pokazywał palcem na wszystkie felery i defekty roślin. Co by nie mówić, miał rację.

Wygonił dostawcę, wręcz wypchnął furgonetkę za bramę. Zaprosił, a raczej wciągnął mnie do szoferki naszego dostawczaka.

– Jedziemy na zakupy, pokażę ci, Szeffie, gdzie sprzedają dobre sadzonki. – Całą drogę się pieklił, że chcieli mnie oszukać. Dowiedziałem się przy okazji, że przy każdej dostawie była partia chorych, że często wciskali nam to, czego inni nie chcieli kupić, czyszcząc w ten sposób magazyn.

Nawet nie wiem, gdzie mnie zawiózł – szkółka, ogrodnictwo, nie pamiętam nazwy. Chodziliśmy długo, pokazywał

i tłumaczył mi, jak odróżnić zdrową roślinę od chorej, przypominał to, co widzieliśmy przy tamtej dostawie i dla kontrastu pokazywał tu na te zdrowe. Uspokoił się, pierwszy raz widziałem, jak Zbyszek głaszcze drzewka po liściach, z jaką delikatnością układa je na pace i zabezpiecza na czas transportu, hmmm... ciekawy człowiek. Razem z kosztami paliwa wyszło trochę ponad połowę tego, ile żądał poprzedni dostawca, wszystkie sadzonki się przyjęły. Od tego czasu Zbyszek kupował drzewka i wszystkie inne rośliny.

Nadeszła zima, ciężki czas dla naszego ogrodnika. Znowu mu zostawała tylko demolka; jakoś budowlanka i to tak wyrefinowana jak renowacja, nie była dla niego, ale ja planowałem już wiosnę. Oprócz rewitalizacji budynków w mojej ofercie pojawiła się także architektura krajobrazu, jako dodatkowa opcja. Zbyszek, uzbrojony w nowe narzędzia, nie mógł doczekać się końca zimy i robót ziemnych. Nadeszła w końcu upragniona przez niego wiosna. Pierwsze wbicie łopaty w ziemię, to chyba dla niego najszcześniejszy dzień tego roku. Nawiązałem kontakt z architektem krajobrazu, zlecałem Wielkoludowi coraz więcej; dochodziły do mnie słuchy, że niekiedy Zbyszek nie zgadza się z projektami, a architekt skarżył się czasami, że mój pracownik robi inaczej, niż jest na planach. Puszcząłem to mimo uszu, efekt końcowy był dobry. Jeśli klient jest zadowolony, ja też byłem zadowolony. Choć między nimi konflikt narastał i coraz częściej musiałem gasić pożary.

Odbieram pewnego dnia telefon od architekta, że rzuca współpracę, że on nie po to robił studia, by mu jakiś robot kreślił po planach i wyzywał go od nieuków i debili. Właśnie pracowaliśmy nad projektem, na którym mi bardzo zależało,

ważny klient, mogło być więcej zleceń... Wkurzyłem się na Zbyszka, już kilka razy go ostrzegałem, że ma trzymać gębę na kłódkę... Dzwonię do architekta, odrzuca połączenia, nie mam jak przeprosić, jadę wkurzony na budowę.

– Panie Zbyszku, ostrzegałem... mówiłem... nie dyskutować z nim... Jest pan zwolniony... musimy się rozstać... nie mogę sobie pozwolić, by z pana powodu tracić klientów i kontrahentów, skoro nie umie pan współpracować... proszę oddać narzędzia, razem z wypłatą będzie odprawa.

To było głupie z mojej strony, później uświadomiłem sobie ten fakt, że przecież, gdyby się w nerwach odmachnął, długo bym nie wstał z podłogi. A ja to mówiłem stojąc pół metra od niego. Postać chwilę, odwrócił się, „przepraszam, do widzenia” i odszedł...

Też się źle z tym czułem, w sumie to przecież fajny chłop, tylko ta niewyparzona gęba. Może zbyt gwałtownie zareagowałem? Zająłem myśli czymś innym, szybko muszę znaleźć nowego projektanta ogrodów, bo ten mój ciągle nie odbiera telefonów. No i kogoś za Zbyszka, do tego czasu moi ludzie będą musieli sobie radzić sami.

Następnego dnia, później niż zwykle, odwiedzam ekipę w pracy, niby pracują, słychać pracujące narzędzia, rozmowy, ale taka jakaś dziwna atmosfera, wiem, że polubili Wielkoluda. „Dzień dobry” słyszę dookoła, niby tak jak zwykle, a jednak nie tak jak zwykle. Akurat odnawiamy wiejską rezydencję, ma w niej być malutki pensjonat, rezydencja na tyle młoda, że nie potrzeba nadzoru konserwatora zabytków, a klientowi zależy, by ją sztukaterią i wystrojem „postarzyć”, najlepiej tak na XVIII wiek. O ogród wokół tej rezydencji wczoraj poszło.

Wchodzę przez ogromną werandę, potem przestronny przedpokój z szerokimi kręconymi dębowymi schodami, skręcam w prawo, do prawie gotowej już sali kominkowej i... nie poznaję jej wystroju.

Na ścianach chyba ze czterdzieści rysunków, projektów ogrodu wokół tej rezydencji. Czasami ten sam fragment narysowany wiosną, latem, jesienią i zimą; i kolejny zakątek w kilku wersjach... i następny, i następny... Wodospad, strumyczek, oczko wodne, którego nie można nazwać oczkiem, to praktycznie staw z wysepką, na niej altanka. Wyspa połączona z brzegiem mostkiem, ławeczka pod starym dębem, zbocze pagórka porośnięte jakimś pnączem i grupa skałek wystająca z nich... Za plecami czuję jakieś poruszenie, słyszę czyjeś ciężkie kroki, poznaję chód Zbyszka, ale nie odwracam się, podchodzi do mnie, lecz trzyma dystans i zaczyna opowiadać o tym, jak ten ogród będzie się zmieniał, przez cały sezon. Jedne rośliny zaczną kwitnąć, potem następne. Jedne zakamarki będą praktycznie niezmiennie przez cały rok, a inne – zmiana niemal z tygodnia na tydzień... Istniejące elementy idealnie wpasowane w nowy projekt, stare drzewo, pagórek, na jego szczycie altanka i grill. Zimą będzie tam stok dla małych saneczkarzy, brzozy zagajnik, ogromny głaz, z którym poprzedni architekt nie wiedział co zrobić i chciał usunąć albo pokruszyć na drobniejsze kawałki i zrobić z nich ścieżkę, tutaj jako najważniejszy element tego fragmentu ogrodu...

Idę wolnym krokiem od rysunku do rysunku, uważnie przyglądam się każdemu, słucham wyjaśnień Zbyszka. Nie są to rysunki najwyższych lotów, pewnie dlatego, że sporządzone w pośpiechu, na niektórych widać kółka od kubka

na kawę, zagniecione rogi. Jeden czy dwa rysunki pogięte, jakby zgniecione, wyrzucone do kosza, a potem wyciągnięte i wyprostowane, na nich były najbardziej widoczne poprawki; na dwóch, czy trzech rysunkach plamy od rozlanej kawy. Ale potrafię się przebić wyobraźnią przez te defekty.

Różne obrazy, jakby były rysowane przez kilka osób, raz idealna kreska, a zaraz obok szkic. Czasami delikatna i niepewna kreska, a tuż obok mocna, gruba, postawiona pewnie za pierwszym razem... Jeśli uda się ten projekt zrealizować, będzie to ogród marzeń. Ostatni rysunek, plan z góry na cały ogród, a na ostatniej kartce kosztorys – wszystkie rośliny, kamienie i bruk na ścieżki, worki ziemi i kory, łącznie z ceną za ryby do stawku i karmą na rok dla nich i roboczo-godziny, a także pozycja: nieprzewidziane. Patrząc na liczbę u dołu – niemożliwe! Wcale nie tak dużo wyższa od ceny obraźliwego architekta, ale ten projekt jest o niebo lepszy.

Odwracam się w stronę wejścia. Zbyszek stoi wśród kolegów, o głowę wyższy od pozostałych. Teraz zauważyłem, że ubrał garnitur, na twarzy widać zmęczenie po całonocnej pracy. Tak, to mogą być pomysły Zbyszka, teraz sobie przypominam, jak poprawiał projekty architekta krajobrazu, zawsze na korzyść; z jaką delikatnością swoimi wielkimi łapami zajmował się najmniejszymi roślinami, jak podwiązywał słabe drzewka do palika... Na pewno są to projekty Zbyszka, ale nie umiem sobie wyobrazić, żeby on je rysował. Za plecami Wielkoluda zebrała się cała ekipa, praca ustała, żadna maszyna nie pracuje.

– Kto to rysował? – Pytam zaciekawiony.

– Moja narzeczona i siostra – pada odpowiedź. Czyżbym dostrzegł rumieniec na twarzy Wielkoluda? Już podjąłem de-

cyzję. Sięgam po komórkę, wybieram numer architekta, tym razem odebrał po pierwszym sygnale.

– Dzień dobry, zgodnie z pana decyzją nie będziemy dalej kontynuować naszej współpracy. Proszę mi przesłać fakturę na wszystkie dotychczasowe nierozliczone zlecenia, do widzenia – rozłączam się, nie czekając na odpowiedź, podchodzę do Zbyszka.

– Czy jest pan zainteresowany stanowiskiem architekta krajobrazu i ogrodnika? – Wyciągam rękę, proponując współpracę. Już po chwili pożałowałem swojej decyzji, bo gdy moja dłoń znalazła się w uścisku wielkiej dłoni Wielkoluda, byłem pewien, że mam połamane w niej wszystkie kości, ale umowa została zawarta.

Znowu zawalczył o siebie i znowu wygrał. Praca Zbyszka przełożyła się na kolejne zlecenia, najpierw dla mnie, a później, gdy założył swoją firmę, także dla niego.

Przygotowywałem Zbyszka do podjęcia samodzielnej działalności, od następnego roku działał już na własny rachunek, ale dla mnie. Założył rodzinę, dwa lata później stracił zainteresowanie dalekimi podróżami i długimi nieobecnościami w domu, oczekiwali na bliźniaki, a żona źle znosiła ciężę. Ale jeżeli tylko miałem zlecenie na jego terenie, on dostawał pierwszy propozycję współpracy. Zawsze byłem zadowolony z jego pracy. Z czasem wyrobił sobie opinię pyskatego, ale bardzo dobrego fachowca, nie zawsze zgadzał się na fanaberie klienta, czasami się nie dogadywali, ale teraz już nie był to mój problem.

Ze wspomnień sprowadził mnie do teraźniejszości ostatni łyk zimnej już kawy.

Rozejrzałem się, ten taras to właśnie jego robotą. Usłyszałem, że właściciel hoteliku chce zbudować patio na letnią kawiarenkę, poleciłem ich sobie i się dogadali. Taras i jego otoczenie w stylu Zbyszka, będzie inaczej wyglądał wiosną, latem i jesienią. Zostawiłem zapłatę na stole, schodzę po stopniach tarasu, otwierają się kolejne zaciszne miejsca i zakątki, zapraszając do zostania na dłużej. Pamiętam, że jeszcze niżej zaczyna się ścieżka, którą w trzy godziny spacerowym tempem można obejść jeziorko.

Odslania się kolejny widok, malownicza ścieżka wokół jeziora zaprasza na spacer. Dobra, myślę sobie, idę, przecież nigdzie się nie śpieszę, nie mam nic do załatwienia, żadnych rozmów, spotkań, telefonów, nigdzie nie jestem spóźniony. Zerkam na rękę, sprawdzając, która godzina. Zegarek został w pokoju. Patrzę w niebo, próbując po położeniu słońca ocenić czas. – „Trochę po południu, może trzynasta” – oceniłem. – „Mogę iść” – zdecydowałem, nie miałem ochoty na spacer po ciemku, ale mam wystarczającą rezerwę czasową.

Dałem się ponieść nogom, ale mój umysł nie odpoczywał, szukał odpowiedzi. Powróciło do mnie pytanie: „*A jeśli zabierzesz ze sobą kogoś, kto nie jest gotowy?*” Jak do tego doszło? Skąd pomysł na wciśnięcie gazu do dechy? Co chciałem zakończyć? Przecież poprzednie życie zamknąłem definitywnie kilkanaście godzin wcześniej, podpisując ostatnie dokumenty u prawnika, zrzekając się praw do firmy i przekazując aktywa Krzysztofowi.

Oczywiście, że zostałem oszukany, wykorzystany, wręcz okradziony. Przypominam sobie, jak z małej jednoosobowej działalności rozwinęło się to do obecnych rozmiarów. Technikum budowlane, tam podstawy, trochę praktyk, pierwsza wakacyjna praca na własny rachunek, remont mieszkania kolegi w starej kamienicy. Super wyszło! Potem mieszkanie sąsiada kolegi i posypały się zlecenia. Zaraz po ukończeniu technikum założyłem firmę, zatrudniłem kilku pomocników; w wieku dwudziestu trzech lat zatrudniałem już ponad dwudziestu ludzi. Miałem czas, by zrobić studia wieczorowe.

Zbierając materiały do swojej pracy magisterskiej, dotarłem do ciekawej publikacji. Na tej samej uczelni, kilka lat przede mną, pewien student wydziału chemii w swojej pracy magisterskiej opisywał różne substancje chemiczne, które były stosowane, są stosowane i mogłyby być stosowane przy osuszaniu i hydroizolacji budynków. Podawał przykłady, pierwsze udane próby hydroizolacji chemicznej realizowano jeszcze przed wojną. Skontaktowałem się z nim, ma na imię Robert, zakumplowaliśmy się, sfinansowałem jego badania i w efekcie razem opracowaliśmy bardzo rewolucyjną, jak się okazało i bardzo skuteczną metodę osuszania zawilgoconych ścian. W ciągu kilku następnych lat pracy jeszcze ją udoskonaliliśmy, okazało się, że jest skuteczniejsza i szybsza od tych powszechnie stosowanych. Nie bez znaczenia jest odpowiednia chemia zastosowana na właściwych etapach i w efekcie są trwałe wyniki. Opatentowaliśmy ją i nazwaliśmy naszymi nazwiskami.

Przyniosło te ze sobą kolejne zlecenia i szybki rozwój firmy, ale wraz z upływem czasu okazało się, że już nie zajmuję

się tym, co lubię, ale jestem managerem, księgowym i zakopałem się w papierach. Doszedłem do wniosku, że potrzebuję kogoś od prowadzenia tych papierów. Na tym właśnie etapie, na początku gwałtownego rozwoju firmy, zatrudniłem Krzysztofa, wykształconego managera z imponującym CV. Pan Krzysztof sprawił się wyśmienicie, dzięki niemu i jego kontaktom, umiejętnościom negocjacyjnym zawarliśmy wiele intratnych kontraktów. W ramach gratyfikacji za pracę, co jakiś czas po wyjątkowo udanych negocjacjach, przekazywałem mu mikroskopijną część udziałów w metodzie osuszania. Ćwierć, pół procenta, raz cały procent. Te drobne okruszki przeliczały się jednak na bardzo duże pieniądze.

Na początku ja miałem 80% udziałów w mojej metodzie osuszania, a kolega ze studiów, Robert, 20 %. Po kilku latach mój manager dysponował już 9% a ja zostawiłem sobie 71%. Jeszcze jeden procent i byłby trzecim nazwiskiem na kontraktach, przy 15% udziałów mógłby brać udział w negocjacjach na prawach wspólnika. Taki miałem statut firmy. Mój manager, a niedługo pełnoprawny wspólnik, bo takie miałem wobec niego plany, świetnie się spisywał na swoim stanowisku zdobywając kontrakty, wygrywając przetargi... Dokładnie kogoś takiego potrzebowałem, a ja znowu urywałem się w teren, odwiedzałem moje ekipy, często pracowałem na równi z nimi. Sam jestem prostym człowiekiem i z tymi prostymi ludźmi czuję się najlepiej. Oczywiście rozmowy handlowe też należały do moich obowiązków i nie były one wielkim ciężarem. Ale to właśnie fizyczna, żmudna, zegarmistrzowska wręcz praca przy konserwacji starych budynków przynosiła mi największą satysfakcję, a zwłaszcza efekt końcowy.

Od początku stawiałem na ludzi, ważniejsze były dla mnie kompetencje, predyspozycje, czasami polecenie znajomych, dopiero w następnej kolejności papiery, świadectwa i listy polecające. Zatrudniałem pasjonatów, szukałem tej zręczności i talentu. Dwuletni staż pracy u mnie otwierał wszystkie drzwi u konkurencji. Duża rotacja pracowników, jednak wyjazdy, rozłąka z rodziną, życie na walizkach i w hotelach, taki cygański styl życia, nie każdemu odpowiadał. Przez pewien czas zatrudniałem kucharza, który robił sztukaterie; kelnera, który potrafił dobrać każdy kolor farby; sprzątaczkę, która miała taką rękę, że mogłaby odnawiać freski; właśnie tym teraz się zajmuje, pracując w jednej z najbardziej renomowanych firm w Polsce. Oprócz kilku wyjątków rozstawaliśmy się w zgodzie, gwałtowne rozstania następowały najczęściej z powodu alkoholu i narkotyków, czasami z powodu braku umiejętności współpracy z innymi.

Naszą metodą jest osuszana większość budynków Petersburga i Amsterdamu. Sprzedaż licencji wprowadziła firmę do pierwszej ligii w branży i przyniosła ogromne pieniądze... Na dokumentach licencyjnych metody osuszania wymagane były dwa podpisy – Roberta i mój, a teraz, po rozprawie sądowej, trzy podpisy – kolegi, mój i Krzysztofa. Gdyby umarł któryś z nas, prawo własności przechodzi na spadkobierców lub zgodnie z zapisem testamentowym. Umowa patentowa jest tak skonstruowana, że nazwa musi pozostać, czyli te dwa nazwiska: moje i Roberta, nawet gdyby któryś z nas sprzedał sto procent swoich praw, nazwa się nie zmienia.

Podział udziałów w metodzie osuszania wygląda teraz inaczej niż na początku. Kolega ze studiów zwiększył swoje

udziały z 20% do 55%, manager z początkowych 9% teraz ma 30%, a mnie z 71% zostało 15%. Ale to 15% pozwala nadal kontrolować sytuację i prawdopodobnie zapewni naprawdę bardzo przyzwoite dochody, gdy już z tych środków zostanie spłacony zaciągnięty przeze mnie kredyt, tak za trzy, może cztery lata. Na razie tylko podpisuję umowy, a pieniądze z tych kontraktów przelewane są na konto banku, który zobowiązał się do regulowania na bieżąco roszczeń ubezpieczycieli. To jedyny dług, który mam, ale mam też zapewnione źródło spłaty tego długu, więc nie spędza mi on snu z oczu.

Moją firmę odkupił ode mnie Krzysztof z kimś tam do spółki. Z pieniędzy nie zobaczyłem ani grosza, wszystkie zostały przelane do banku, jako spłata części mojego długu i na poczet przyszłych roszczeń. Okazało się, że to jedyny sposób na uniknięcie wypłaty większości odszkodowań i utrzymanie kontraktów, bo większość zleceniodawców chciała moją metodę, chciała moją chemię, chciała moich pracowników, ale nie chciała już mnie, natomiast mojego byłego managera już tak. Zagrozili zerwaniem umów i wystąpieniem o odszkodowania. Najlepszym wyjściem, najbezpieczniejszym dla moich byłych pracowników było wycofanie się z interesu i przekazanie firmy w inne ręce.

To przeszłość... teraz jest teraz... Przyszłość... mogła nie nadejść...

* * *

Przysiadłem na ławce, obserwuję, jak kaczki pływają po jeziorze, myślami jednak jestem w samochodzie i wciskam

gaz do dechy... Pamiętam, znam przecież doskonale przyjemny dźwięk silnika, gdy wchodzi na wysokie obroty... Co mną powodowało? Co chciałem uzyskać? Co chciałem zakończyć? Przecież, wychodząc z domu dziecka, dostałem tylko niewielką wyprawkę i łóżko w pokoju z trójką współlokatorów. Teraz, nawet tracąc firmę i opinię, mam wielokrotnie więcej, niż wtedy śmiałem marzyć. Nie mam w zwyczaju palić za sobą mostów. Nie chodzi też o pieniądze. Zdrada boli, to chyba to, nie chciałem by bolało, zdrada partnerki, managera, któremu tak bardzo ufałem, że niedługo miał zostać pełnoprawnym współnikiem; wszystko naraz się skumulowało. Jestem wściekły na niedoszęłego współnika, przygotowałem mu pewną niespodziankę, podpisując ugodę, nie konsultując się z moim prawnikiem, wprowadziłem pewien zapis, byłem pewien, że dostrzeże mój podstęp, ale nie, nie zauważył...

Dobra, nie rozczulaj się nad sobą, sam siebie zgań, czas na urlop! Kiedy ostatnio byłem na urlopie, takim bez telefonów, bez pamiętania o terminach, dłuższym niż dwa dni? Nie pamiętam. W tym właśnie momencie postanowiłem. Ogłaszam, że jestem na urlopie, od teraz do... do odwołania! Służbowa komórka została w firmie, prywatna rozładowana w pokoju, albo w samochodzie, żadnych terminów, żadnych zaległości, żadnych zobowiązań... Czas relaksu i odpoczynku, czyli urlop.

Ale się zasiedziałem, orientuję się, pozwoliłem sobie na chwilę przemyśleń i wspomnień, a minęło kilka godzin. Szacuję, czy szybciej dotrę do hotelu wracając, czy idąc dalej wokół jeziora. Wracam, jednak nie odszedłem daleko. Wchodzę do hotelowej restauracji, zgłodniałem, i to jak! Kiedy ostatnio jadłem? Próbuję sobie przypomnieć. Dziś tylko kawa, wczoraj, zaraz po wizycie w kancelarii u prawników wsiałem do samochodu, śniadania tego dnia i kolacji dzień wcześniej nie byłem w stanie zjeść. Obiad... też nie, bo przygotowywałem papiery. Śniadanie...? Tak, było, poranna kawa po źle przespanej nocy. No tak, nie jadłem od trzech dni, nic dziwnego, że jestem głodny. Siadam przy stoliku, jeszcze ze trzy godziny do zachodu słońca, więc raczej obiadokolacja. Sięgam po kartę, przeglądam pozycje menu... nie ma tego, czego mi się zachciało...

– Długo mam na ciebie czekać? – Tego głosu nie da się zapomnieć, Panna Marysia, szefowa kuchni, typowo włoska uroda i temperament, do wszystkich zwraca się na „ty”. Nawet, gdyby rozmawiała z prezydentem, też mówiłaby do niego na „ty”. Wstaję, całuję w dłoń, bardzo ją lubię. Drobne 160 centymetrów wzrostu i 50 kilogramów wagi, ale temperament i osobowość sprawiają, że nikt nie śmie się jej sprzeciwić. Teraz przychodzi ta sama kelnerka, która rano podała mi kawę. Trzyma tacę, znowu zasłania imię na koszuli. Panna Marysia zdejmuje z tacy talerz, a na nim usmażona pierś z kurczaka w płatkach migdałowych, takie słodko-ostre wydanie i dodatki, poczułem zapach. Tego nie ma w karcie dań, tylko na specjalne zamówienie, ależ jestem głodny...

– Zostajesz? – bardziej było to stwierdzenie niż pytanie.
Wiem, że z Panną Marysią się nie dyskutuje.

– Zostaję, oczywiście, że zostaję.

– No – skwitowała krótko z zadowoleniem, odwracając się do kelnerki i zdejmując z tacy kieliszek białego wina. – Dzisiaj nie będziesz prowadził? – kolejne retoryczne pytanie.

– Nie – odpowiadam szybko, biorąc sztucce do rąk i dobieierając się do posiłku, pierwszy kęs. – Mmmm – mruczę z zadowolenia, nie tylko dlatego, by sprawić przyjemność Pannie Marysi, naprawdę pyszne.

– Jutro o dziesiątej śniadanie, nie spóźnij się.

– Będę punktualnie – obiecuję.

– O dziesiątej, nie o dziesiątej pięć – powtórzyła.

– Będę punktualnie.

– Zadzwońię kwadrans wcześniej – obiecała na pożegnanie, głosem nie znoszącym sprzeciwu.

W tej małej osóbcce kryje się wielki temperament. Poznałem ją w ciekawych, choć bardzo stresujących dla mnie okolicznościach. Jakieś cztery lata temu, w tym właśnie hoteliku wydawałem kolację dla kontrahentów, z okazji podpisania bardzo korzystnego kontraktu. Szef kuchni cieszył się bardzo dobrą opinią, a poza tym miejsce było w korzystnej lokalizacji. Menu specjalnie skomponowane na tę okazję. I tu nagle pech. Szef kuchni zachorował, znalazł się szpitalu, inni kucharze nie podjęli się wyzwania przygotowania tych wyszukanych dań. Właściciel pensjonatu, chcąc ratować swoją reputację, usiłuje ściągnąć kucharza z innej restauracji. Wchodzę do kuchni, chcę ocenić sytuację i widzę katastrofę, a przewiduję katastrofę jeszcze większą,

bo wchodzi do akcji Panna Marysia. Do tej pory pracowała na zmywaku, czasami jako pomoc kuchenna, teraz zrzuciła rękawice i przejęła dowodzenie.

– Nie panikuj, będzie kolacja – mówi do mnie i rozdziela pracę. Ty zrób to, ty to... Zauważam, że opornie, ale wszystko zaczyna się kręcić. Dalej pełen obaw wycofuję się z kuchni. Wracam po godzinie, czy półtorej, wszystko na najwyższych obrotach, a dochodzące zapachy zaczynają napawać mnie optymizmem. Nie przeszkadzam im w pracy. Z godzinę później słyszę krzyki i hałasy z kuchni, podniesionego głosu Panny Marysi nie da się pomylić z żadnym innym. Zaintrygowany i poważnie zaniepokojony szybkim krokiem idę do kuchni, mijam się w korytarzu ze zdenerwowanym właścicielem hoteliku, to też temperamentny człowiek. Wchodzę i widzę pozrzućcane garnki z pieca, rozlana zupa czy sos, katastrofa jednym słowem. Panna Marysia zdenerwowana do granic możliwości, takiej wściekłej jej nie znałem.

– Zwolnił mnie, wyrzucił. Nie, to ja się zwalniam, ja rzucam tę robotę, będzie mnie uczył, jak rosół się gotuje... Może jeszcze będzie się czepiał tego, jak ziemniaki obieram?! Odchodzę! – Katastrofa w całej pełni, a tak zależało mi na tym przyjęciu. – Od jutra odchodzę, będzie kolacja, nie martw się. – Patrzy na rozlane potrawy, potem na mnie. – Zmieniamy menu, nie martw się. Wyrzucać mnie będzie! Sama odchodzę!... Od jutra odchodzę! – dodała patrząc na mnie.

Widząc błyski w jej oczach i wielki kuchenny nóż błyszczący w jej ręce, wycofałem się do drzwi. Pełen najgorszych przeczuć zaszyłem się w pokoju, trochę ponad godzinę przed kolacją zaglądam nieśmiało do kuchni.

– A ty tu czego? – wita mnie głos Panny Marysi. Nie śmiałem wejść dalej, ale nos zapewnił mnie, że nie będziemy głodować podczas bankietu i że nie będą to kanapki. Wracam nieco uspokojony do pokoju, pół godziny przed rozpoczęciem puka jedna z kelnerek do drzwi.

– Panna Marysia kazała poinformować, że kolacja będzie pół godziny później, przekąski, napoje i owoce będą punktualnie, ale w ogrodowej altanie, zaraz przygotowują. Tam się zacznie spotkanie, a na główny posiłek poprosimy na salę. – Nie czekała na odpowiedź, odeszła zostawiając mnie w otwartych drzwiach. Niespecjalnie mnie to uspokoiło.

Właściciel hotelu zaszył się w jakiejś dziurze i unikał mnie jak ognia, zacząłem denerwować się jeszcze bardziej. Dla uspokojenia, już ubrany odpowiednio do okoliczności zaszedłem do altany. Duża zadaszona drewniana konstrukcja, kilka stolików, a na nich kosze z owocami. Urządzony bar i barman żonglujący butelkami; mijają mnie kelnerzy, donoszą jakieś przekąski. W innej części wiaty parę wygodnych krzeseł, leżaków, foteli ogrodowych, kilka ławek. Słońce zachodzi, trochę ponad kwadrans do umówionego spotkania, jak na mój gust wszystko w porządku, mogłoby nawet tak zostać i byłoby dobrze, ale kelnerzy i kelnerki uwijają się jak mrówki, krążą między kuchnią a altaną, co chwilę coś donoszą.

Idę na parking, bo moi goście już zaczynają się zjeżdżać. Witam ich, w końcu to obowiązek i przywilej gospodarza, dalej przejmują ich kelnerzy, wskazują drogę do altany. Pojawiły się pochodnie, a jeszcze przed chwilą ich nie było, pomarańczowym blaskiem ognia doskonale komponują się z czerwonym niebem i zachodzącym słońcem. Po chwili

dołączam do gości, są zachwyceni pomysłem, altaną, pochodniami i przekąskami... Nawet nie wiem, kiedy przeszliśmy do restauracji, a na stołach fantastyczne dania, niby takie pospolite i zwyczajne, ale podane w niezwykle sposób, albo oryginalnie i odważnie ze sobą zestawione... Goście nie mogli się nachwalić, zażądali widzenia z szefem kuchni. Nagrodzili go, czyli Pannę Marysię, oklaskami na stojąco. Na kolacji było dwóch restauratorów, złożyli jej propozycję pracy... Zadowolone gości przełożyło się po pewnym czasie na kolejne zlecenia dla mnie.

Większość gości po kolacji wróciła do siebie. Ci, co zdecydowali się zostać na noc w pensjonacie, mieli okazję obserwować ciekawą scenę. Późno w nocy, Panna Marysia idzie do swojego samochodu, wiśniowej Škody, a właściciel, kręci się wokół niej, przeprasza, całuje po rękach i prosi, aby zechciała dalej dla niego pracować. Między nimi, a wejściem do hotelu leży porzucony bukiet kwiatów, Panna Marysia nieprzejednana, w końcu dostała dwie propozycje pracy i to w stylu: „Pani mi powie, ile chce zarabiać, a ja powiem: tak”. Przyparty do muru były pracodawca, kładzie się przed kołami samochodu i w ten sposób nie pozwala jej odjechać. Po kilkudziesięciu minutach dochodzi do zawarcia umowy.

Dziś Pannę Marysię należałoby tytułować Panią Marysią, wyszła za mąż za właściciela hoteliku i jest współwłaścicielką, ona rządzi w kuchni i karmi ludzi, a on dba o to, żeby miała kogo karmić. Jak się te dwie wybuchowe osobowości dogadują, pojęcia nie mam, ale związek trwa. Ale Panna Marysia dalej zostanie dla mnie Panną Marysią, zachowała swój dziewczęcy urok i figurę, pomimo urodzenia trójki dzieci.

Plotka niesie, że oświadczyzny wyglądały podobnie, jak negocjacje o pozostanie w pracy. Ale to niesprawdzona pogłoska. Pewną informacją natomiast jest to, że do ślubu pojechali wiśniową Škodą.

Piers z kurczaka panierowana płatkami migdałowymi, sałatka z awokado i selerem oraz białe wino, posiłek który właśnie skończyłem, był jednym z dań na tej zamówionej przeze mnie kolacji.

Przypomniałem sobie o zaproszeniu na śniadanie jutro o dziesiątej. Dla pewności znajdę do samochodu po komórkę i ustawię budzik, przecież nie chcę się spóźnić. Zrelaksowany, syty, z komórką w rękę zamykam swój samochód i idę do hotelu, przeszedłem kilka kroków i nagle słyszę dźwięk silnika na wysokich obrotach, jest coraz bliżej... nagle pisk opon trących o asfalt... tylko czekam na uderzenie w coś... Pisk umilkł, uderzenia nie słyszałem, silnik na wolniejszych obrotach dalej pracuje... odjechał... już prawie go nie słychać. Ostre hamowanie było... tylko... A ja przed oczami mam scenę z mojego snu: roztrzaskujące się lusterko o barierę... dziewczynka w sukience w stokrotki... i beżowa zakrwawiona czapka z daszkiem, przyczepiona do pogiętej wycieraczki tylnej szyby mojego samochodu...

Śniadanie

Kolejna bezsenna noc za mną, noc pełna przemyśleń, wspomnień, prób poszukiwania odpowiedzi na pytania: Gdzie popełniłem błąd? Kiedy powinienem zauważyć, że wokół

mnie czai się podstęp, oszustwo i zdrada? Co zrobiłem nie tak? Pojawiło się też, ku mojemu zaskoczeniu, uczucie wdzięczności do tej Istoty, która sprawiła, że nikomu nie zrobiłem krzywdy na zakręcie...

Ciemność nocy zaczęła się przerzedzać, gdy przyszedł sen. Znowu jechałem, zamiast zdjęć nogę z gazu docisnąłem do końca... Gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem barierę i białoczerwone pasy na niej, mknące w moją stronę. Nawet nie zdążyłem dotknąć hamulca, uderzyłem w barierę, z ogromnym hukiem otworzyła się poduszka, wpadam w nią twarzą. Pasy mocno trzymają mnie w fotelu, czuję, że koziółkuję, przelatuję nad barierą i ścieżką rowerową, która jest za nią. Rozpędzony wpadam tyłem i do góry kołami w las. Uderzenie w pierwsze drzewo obraca mnie w poziomie i widzę przez boczną szybę z mojej strony, jak pędzi na mnie drzewo, nie specjalnie grube, może z dwadzieścia pięć centymetrów średnicy, prosto na mnie. Jak na zwolnionym filmie widzę, że dotyka drzwi, otwiera się poduszka boczna, drzewo wciska drzwi do wewnątrz, wgniata je, dotyka szyby, najpierw jedna rysa, druga, kolejne, teraz już cała sieć. Rozwija się kurtyna boczna. Szyba pęka, odłamki lecą w moją stronę, przebijają się przez nie do końca rozwiniętą jeszcze poduszkę boczną; docierają do mojej twarzy, wbijają się w skórę. Drzewo, teraz dopiero dociera do mnie wyraźnie, że to brzoza, zbliża się do mojej twarzy... poduszka już pusta, wgniecione drzwi przesuwają mnie do wnętrza samochodu. Drzewo praktycznie dotyka mojej twarzy, policzkiem czuję fakturę kory... Delikatny z początku dotyk jest coraz mocniejszy, teraz to już nacisk, który łamie mi kark... I nagle na tylnym siedzeniu zaczyna dzwonić telefon...

Sygnal pobudki mojego telefonu wyrывa mnie ze snu, serce łomocze, pościel mokra od potu. Leżę jeszcze chwilę, próbując się uspokoić. „To tylko sen” – tłumaczę sam sobie. Siadam na łóżku, nogi jeszcze się trochę trzęsą... Zbieram siły, wyrównuję oddech. Wizyta w łazience i niezdarne próby doprowadzenia się do porządku drżącymi jeszcze trochę rękami – Nie czas na golenie – podejmuję decyzję.

Dokładnie kwadrans przed dziesiątą dzwoni Panna Marysia. Słysząc zadowolenie w jej głosie, gdy odbieram i rozmawiam nie tłumiąc ziewania, czyli mnie nie obudziła, byłem już na nogach.

Punktualnie o dziesiątej zasiadam przy stoliku, wskazuje mi go ta sama kelnerka, którą wczoraj widziałem. „Czyżby tylko ona tu pracowała?” – zastanawiam się, próbując sobie przypomnieć, czy widziałem innych ludzi z obsługi. Jednocześnie staram się odczytać imię na koszuli, znowu zasłonięte notatnikiem.

– Zaraz podamy – powiedziała odchodząc i nie zbierając zamówienia ode mnie. „Dziwne zwyczaje tu zaczęły panować” – mruczę do siebie i czekam na dalszy rozwój wypadków. Tacę ze śniadaniem przynosi osobiście szefowa kuchni, Panna Marysia.

– Ależ zaszczyt mnie spotkał – witam się, wstając od stolika, kłaniam się i odbieram tacę. – Jam nie godzien takiego traktowania – żartuję sobie trochę.

– Nie błaznuj – obdarza mnie uśmiechem. – Kawa, tak jak lubisz, w kubku, a nie w pedalskiej filiżance. – No tak, to jest właśnie Panna Marysia, nie przebiera w słowach. – Ostatnio ci smakowała – kontynuuje podając jajecznicę, niby zwykła,

ale ona dodaje do niej coś, co sprawia, że jest niezwykła. Do tego tosty z jasnego i ciemnego pieczywa i talerz z sałatką z pomidorów. Drugi talerz z kilkoma rodzajami sera i wędlin. Odchodzi, ja zabieram się za posiłek. Apetytu specjalnie nie mam, zmęczony serią źle przespanych nocy, ale pierwszy kęs i wiem, że jestem głodny, jak zwykle pyszne.

– Coś taki markotny? Wiem, że dostałeś po tyłku, zrobiłeś się sławny. Wszystkie gazety o tobie pisały, weź się w garść, przyjaciele cię potrzebują – słyszę pod koniec śniadania.

Podnoszę zdziwiony wzrok na Pannę Marysię, pamiętam tytuły paszkwili w gazetach: „Jeden z najcenniejszych zabytków architektury w Polsce zniszczony”, „Skandal”, „Prezes nieuk”, „Ekspert bez wykształcenia”, „Niekompetentny konserwator zabytków”, „Ogromne odszkodowanie zasądzone wyrokiem sądu”, „Prezes jednej z największych firm podaje się do dymisji”. Zdziwienie wzbudziła we mnie wzmianka o przyjaciołach. Ci, których uważałem za moich przyjaciół zdradzili mnie.

– Nie mam przyjaciół – burknąłem i włożyłem do ust kolejną porcję. I w tym momencie dłonie Panny Marysi z impetem lądują na stole, kubek i talerze podskoczyły po tym uderzeniu w blat, jeden zamaszysty ruch ręki szefowej kuchni i wszystko, co było na stole, znalazło się na podłodze, rozbita zastawa, rozlana kawa... a ja zastygłem oniemiały z nożem i widelcem w dłoniach i z pełnymi ustami...

– Powtórz to jeszcze raz – syknęła, cedząc powoli słowa. Nachyliła się do mnie, oparła się o stół i patrzyła mi prosto w oczy. Kilka razy już widziałem iskry w jej oczach, ale teraz to były błyskawice i miotła nimi prosto we mnie... a na do-

datek jej twarz nie była dalej niż piętnaście centymetrów od mojej. Jedzenie stanęło mi w gardle, nie umiałem przełknąć, wypluć nie wypadało, chusteczki czy serwetki, do której mógłbym się pozbyć zawartości ust, nie było w zasięgu ręki. Siedziałem więc bez ruchu, wpatrzony w czarne i wściekłe oczy szefowej kuchni.

– Albo jesteś ślepym, kompletnym durniem, albo problemy cię przygniotły i patrzysz nie tam, gdzie powinieneś. Wiem, że spadniesz na cztery łapy i poradzisz sobie. Masz przyjaciół, nawet nie zdajesz sobie sprawy jak wielu. Ale skup się teraz. Pomyśl o Zbyszku, wiesz, że siedział?

– Yhy – potwierdziłem z pełnymi ustami, kiwając głową.

– A wiesz, za co siedział?

– Eee – zaprzeczyłem kręcąc głową.

– Udowodnili mu pobicie za skutkiem śmiertelnym. – Nie pasowało mi to do Wielkoluda, a ona kontynuowała dalej.

– Uwierz mi, na sumieniu ma znacznie więcej. – Wybałuszyłem oczy. – Ale na początek wróć pamięcią do dnia naszego pierwszego spotkania. Pół godziny wcześniej stał koło torów i czekał na pociąg, chciał się pod niego rzucić! Już kilka tygodni szukał pracy i nikt go nie chciał przyjąć, gdy dowiadywał się o jego kryminalnej przeszłości, a naprawdę chciał z nią zerwać i żyć uczciwie. Zobaczył twoją oklejoną reklamami furgonetkę i potraktował to jako ostatnią szansę... Ciąg dalszy znasz, postawił wszystko na jedną kartę. Zbyszek zniknął trzy tygodnie temu i zaczął montować starą ekipę. Twojego byłego współnika czeka pobicie ze skutkiem śmiertelnym, ale ta menda o tym wie i załatwiła sobie obstawę policji. Zbyszek nigdy nie wróci do więzienia, woli zginąć.

Udało mi się w międzyczasie przełknąć to, co miałem w ustach.

– Skąd to wiesz? – pytam z niedowierzaniem, mając nadzieję, że to żart.

– Jestem jego siostrą – jak spod ziemi wyrasta kelnerka, Magda, wreszcie przypomniałem sobie jej imię.

– Zbyszek jest moim mężem – słyszę zza pleców. Wstaję, odwracam się, widzę Agatę. To żona Zbyszka, poznałem ją kiedyś. Wysoka, niebieskooka szatynka, teraz w zaawansowanej ciąży. Ten widok rozwiął moje wątpliwości. Zbyszek szalał za swoją rodziną, więc sprawa jest poważna.

– Ale co ja mogę zrobić? Macie jakiś pomysł?

– Nie tutaj, chodź. – Panna Marysia zadecydowała o zmianie miejsca rozmowy.

– Co temu palantowi strzeliło do głowy? – głośno myślę po drodze.

– Uważa się za pańskiego przyjaciela – powiedziała Agata.

– Kretyn, poświęcić rodzinę, wolność, a może i życie dla przyjaciela? Skończony kretyn.

– Prawdziwi przyjaciele już tak mają – stwierdziła lakonicznie Magda.

– Imbecyl, idiota, półgłówek – dalej głośno wyrażam swoją opinię o Zbyszku, wchodząc już do pokoju. Jestem zły na byłego współnika, może nawet przez głowę przeleciała mi myśl: „Dobrze mu tak”, myśląc o pobiciu, ale nie, żeby życzyć mu śmierci! A pomysł Zbyszka z zemstą z mojego powodu jest absurdalny. Nawet jeżeli będzie, a będzie kiedyś, jakiś odwet z mojej strony, to przecież to moja sprawa! Po co on się miesza w coś, co jego nie dotyczy, dlaczego on taki zawzięty?

Nawet jeśli czuje, że ma wobec mnie jakiś dług, a nie ma, to i tak nie powinien się mieszać. A tracić kilka bardzo dobrych lat i wracać na drogę przestępstwa, a w jego przypadku ryzykować, albo i stracić życie, w mojej sprawie... Nie może mi się to pomieścić w głowie.

Plan

– Jeśli mówi pan o Zbyszku, to nie ma pan racji – znam ten głos. Wchodzę do pokoju i widzę pana Piotrka. Pracował dla mnie jakiś czas temu, okazał się świetnym kierowcą, wygadał się, że kiedyś ścigał się wyczynowo, a gadane miał takie, że nikt go nie przegadał. Popracował dla mnie ponad pół roku, może więcej, okazało się, że ma poważny problem z alkoholem. Zorganizowałem mu terapię, ale potem nasze drogi nie zeszły się ponownie. Posyłam zdziwione spojrzenie Pannie Marysi. Kobiety nie wchodzi do pokoju, czyli czeka mnie rozmowa sam na sam, dziwi mnie to jeszcze bardziej. Pan Piotr wyciąga do mnie rękę i mówi:

– Konrad Piechota, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Wydział do Spraw Zwalczania Przystępności Zorganizowanej.

Kładzie na stole legitymację służbową i policyjną blachę. Teraz szczena mi opadła, zgłupiałem zupełnie. Panna Marysia zamyka za mną drzwi. Jestem sam na sam z Piotrem? Konradem? Policjantem? Kim on w końcu jest?

– Dziewczyny opowiedzą resztę, ja tylko najważniejsze. Zbyszek jest jednym z najniebezpieczniejszych przestępców,

z jakimi miałem do czynienia. Udowodniliśmy mu tylko po-
bicie ze skutkiem śmiertelnym, ale podejrzewamy go o kilka
zabójstw. Pracował dla mafii, taki człowiek od mokrej roboty.
Inteligentny, niesłusznie nazwał go pan półgłówkiem, imbe-
cylem, itd. O jego sile i refleksie mógł się pan przekonać...
dodatkowo świetnie walczy wręcz, umie posługiwać się i rzu-
cać nożem. Odsiedział swoje w więzieniu, wygląda na to, że
po wyjściu naprawdę chciał się zmienić i wieść uczciwe życie.
Cały czas był pod obserwacją i przez tych kilka lat był czysty.
To nieprawdopodobne, ale on naprawdę się zmienił, ale tacy
przestępcy na zawsze dostają ogon.

No i trochę ponad dwa tygodnie temu nam się urwał,
zniknął. Nie mamy pojęcia, gdzie teraz jest. Jednocześnie za-
częli nam znikać jego kumple z dawnego życia. Zdobyliśmy
informację, że szykują się na pana managera. Nawet pan się
nie domyśla, ale pan Krzysztof, ma na sumieniu współpracę
z przestępczością zorganizowaną. Gdy tamta grupa dowie-
działa się, kto wypowiedział im wojnę, wycofała się z ochro-
ny. Nie tylko z powodu Zbyszka, ale i pana. Ochronę policji
ma pan od kiedy zaangażował się pan w resocjalizację więź-
niów, a przy następnym spotkaniu wyjaśnię, dlaczego jest pan
nietykalny dla mafii.

Pana wspólnik, Krzysztof, zwrócił się o ochronę do po-
licji. Na razie jeszcze decyzja nie zapadła, trwają negocjacje,
jakie informacje może nam zaoferować w zamian za ochronę.
Ale najprawdopodobniej ją dostanie. Tylko, że Zbyszek nie
odpuści, bez rozlewu krwi się nie obejdzie. Jedynie pan jest
w stanie odwieść go od tego planu.

– Dlaczego jedynie ja?